

NAWRÓĆ SIĘ, BO CO MASZ DO ROBOTY

*Fascynacje
Ewangelii*

*moim studentom
z duszpasterstwa akademickiego
„Stodoła” w Zielonej Górze*

ks. Paweł Prüfer

NAWRÓĆ SIĘ, BO CO MASZ DO ROBOTY

Fascynacje
Ewangelii

Wydawnictwo WAM ■ Księża Jezuici
Kraków 2013

© Wydawnictwo WAM, 2013

Redakcja Magdalena Dobrzyniak
Współpraca Barbara Cabała
Projekt okładki Andrzej Sochacki
Łamanie Jacek Zaryczny

ISBN 978-83-277-2414-4

NIHIL OBSTAT. Przełożony Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego
ks. Wojciech Ziółek SJ, prowincjał, Kraków, dn. 6 grudnia 2012 r., l.dz. 230/2012.

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 KRAKÓW
tel.: 12 62 93 200 • faks: 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel.: 12 62 93 254-255 • faks: 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel.: 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks: 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM • ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków

Wstęp

Dobra Nowina jest, a mogło jej nie być

Nie bardzo chce się nam wierzyć w szczerą intencję kogoś, kto w swoim zaciętrzewieniu próbuje nas przekonać, że produkt, który nam oferuje, jest wyjątkowo dobry, wręcz genialny. Skoro taki jest, to czy sam nie powinien się obronić przed obojętnością jego potencjalnych konsumentów? *Dobra Nowina* jest dobra dlatego, że jest dobra, czy dlatego, że Ktoś Dobry nam o niej opowiedział? I czy zastosował taką metodę perswazji, aby nam wyjaśnić za wszelką cenę jej nieprzeciętną wartość? Czy aby nie wymieszał logicznej argumentacji z Boskim sprytem, a wszystko po to, żebyśmy się przekonali, iż naprawdę jest dobra? Czy może jednak przekonanie o tym, że jest dobra, przyszło do nas, gdy sami jej skosztowaliśmy, a fakt, że spróbowaliśmy jej w swoim życiu, zanim została nam ona sumiennie i systematycznie wyjaśniona sprawił, że w jakimś sensie poszliśmy

ochoczo za nią? Jeśli tak, to tym samym osobiście dokonaliśmy oceny: „Ewangelia jest dobra”. I tak już zostało.

Znane wytrawnym teologom i mniej ociosanym teologicznie adeptom rozróżnienie między Jezusem historii i Chrystusem wiary jest w gruncie rzeczy połączeniem tego, co jest napisane w Ewangelii, z tym, co jest przeżywane w życiu jako Ewangelia. Tej wersji się trzymajmy. Tę wersję proponuję też jako autor rozważań, z którymi Czytelnikowi przychodzi się teraz skonfrontować. Niech więc nie niepokoi przypuszczenie, że autor jest dyletantem, który nie odróżnia jednego od drugiego. Gdy mowa o Bogu wcielonym, przemierzającym gwałtownie a zarazem dyskretnie drogi na kartach Ewangelii, to jest to Jezus Ewangelii. Gdy wchodzi do twojego, Czytelniku, życia i przemyka po moim podobnie, jest tym samym Jezusem Ewangelii, lecz zapisanym na kartach książki, a zaktualizowanym Chrystusem wiary. Stąd to rozróżnienie.

Czy nie irytuje cię, drogi dociekliwy Czytelniku, że autor nie zadbał o to, by nakierować cię znacznie precyzyjniej na dokładne ulokowanie ewangeliczne tego, o czym przypomina, odnośnie do Jezusa Ewangelii? Że nie mówi ci dokładnie, gdzie tego szukać? Irytuje cię, być może. Ale

wybacz, proszę, bo to zabieg celowy, byś w ewentualnych potrzebach zgłębienia tego, co ja tylko szkicuję, sam zdobył się na wysiłek drogi. Kiedy więc czytasz o Jezusie, który uzdrawia teściową Piotra, i akurat ta scena jest ci szczególnie bliska – choćby dlatego, że i twoja teściowa jest znacząco obecna w twojej doli i niedoli zięcia – to z racji doświadczenia, jakie nabyłeś, spróbuj dalej wystawiać się na trud. Wertuj ewangeliczny zapis, by o tej scenie przeczytać. Jeśli mi wierzysz, to przyjmij wyjaśnienie, iż to mój celowy zabieg, a nie zwykłe zaniedbanie. Z tej zawilości i nieprecyzyjności chcę się przed tobą wytłumaczyć, i jeśli się da, to także usprawiedliwić.

Dosyć modne w ostatnim czasie stwierdzenie „nie ogarniam tego” – zwłaszcza wśród kreatywnej i ekspresywnej młodzieży – dotyczy zazwyczaj jakiejś skomplikowanej lub nieakceptowanej sytuacji. Może być wyrazem konsternacji wynikającej z oglądu racjonalnie zorganizowanego świata dorosłych, pełnego rygorystycznych i mechanicznych prób podporządkowywania się codziennym regułom. Może być przejawem podziwu wobec czyjejś nietypowej postawy, ale i kontestacją nieakceptowanych u innych zachowań. Może się za tym kryć poważny i skomplikowany splot różnych zdarzeń, ale także jakiś

banalny i tylko chwilowo pojawiający się element, który zwraca uwagę. Może być również przejawem niemożności podolania pojawiającemu się wyzwaniu. Nie zawsze także, chętnie i z wyboru, chciałoby się wiązać swoją codzienność z nieustannym odnoszeniem jej do tego, co już było, i wyobrażając sobie to, co może się w przyszłości wydarzyć. Czy wystarczy tylko przerzucić kolejne strony albumu ze zdjęciami, lub otworzyć folder w komputerze, by wrócić do zdjęć wykonanych niedawno i nie tak znowu dawno aparatem cyfrowym?

Mówimy o tym, co już się zdarzyło, będąc przekonanymi, że to już przeszłość. Dzieje się tak tym bardziej, gdy chcemy zapomnieć o przykrych wydarzeniach, które w przeszłości sprawiły nam ból. Logiczne jest także to, że część naszych przeżyć i elementów, które ukształtowały naszą biografię, aż do momentu, o którym możemy powiedzieć „teraz”, istotnie wpływa na to, jakiego rodzaju jest to „teraz”. I jakimi jesteśmy właśnie „teraz”. Wychowanie, socjalizacja, formowanie i kształtowanie, które miały miejsce w przeszłości, zaważyły na tym, czy obecnie inni chcą z nami przebywać, czy też omijają nas szerokim łukiem. To, czy potrafimy układać sobie naszą codzienność z innymi, mając do dyspozycji nie

tylko nasze naturalne zdolności – efekt dziedziczenia i łaski natury – zależy także od kształtu naszej ociosanej, czasem z każdej możliwej strony, osobowości.

Dzięki przeszłości i dzięki historii, która zarejestrowała wielość przeróżnych zdarzeń, na które mieliśmy i na które nie mieliśmy wpływu, spletały w logiczną całość różne wymiaru czasu. Przeszłość, przyszłość i to, co jest teraz, łączą się w nas, niczym przyciągane do siebie magnesy, jakby stworzone dla siebie, jakby nieistniejące bez siebie. Pamięć nie myli, jeśli się ją oczyszcza i daje jej odrobinę pożywienia, produkującego energię i utrzymującego sprawność. Dzięki wspomnieniom i umiejętności zapamiętywania nabywamy mądrości, która budzi szacunek u poszukujących wiedzy nie dla niej samej, ale z powodu jej praktycznego zastosowania w życiu codziennym. To, co wydarzyło się ponad dwa tysiące lat temu w historii świata i w życiorysach wtedy obecnych na świecie osób, można by uznać za piękny efekt wejścia nowej Siły i Tajemnicy, rozjaśniającej wszystko, co obecne i doświadczalne. Można by także przekonywać, że nie pozostaje to nawet i dziś bez znaczenia dla naszych wyborów, dla naszych spojrzeń na siebie i na innych. Będzie to jednak tylko, choć z pewnością piękne,

wspominanie czasów i zdarzeń minionych, które siłą swojej oryginalności i wyjątkowości odcisnęły się także na tym, co jest „teraz”.

W tej wyjątkowości minionych zdarzeń, w wyjątkowości ich Twórcy, w niepowtarzalności historycznego Jezusa z Nazaretu, skupiła się jeszcze inna niebywała zdolność, z regularnością zegarka szwajcarskiego powielająca, odtwarzająca i ujawniająca wszystko, co wtedy zostało stworzone i ujawnione. Jezus historii był, pojawił się, zauważali go ludzie. Dowodzą tego historyczne badania. Istniał faktycznie. Ludzie Go słyszeli, widzieli, można było Go rozpoznać. Po jakimś czasie, kiedy wykonał to, co miał do wykonania, odszedł w swoje strony, do Ojca. A skoro odszedł, bo wykonał swoją misję, to czy już Go nie ma? I tu się zaczyna moment, który trochę trudno „ogarnąć”. Nie ma Go, a jest. Był, minął, i nie minął. Odszedł i pozostał. Zabrał Siebie i wszystko, co Jego, a pozostawił Siebie i wszystko, co Jego. Świadkiem jest zapis, słowa, ludzki język, ludzka wrażliwość, zdolność odwzorowywania. Ewangelia to świadectwo tego, co było, ale nie minęło. I tym chciałbym się dzielić z Czytelnikiem; tym, co zawierają strony książki, którą mamy w swoich rękach. Spróbujmy razem, może się uda stanąć blisko tego, co było, a co nie minęło. Choć tego

nie można stworzyć na zawołanie, chciałbym jednak zawołać: zafascynujmy się Ewangelią, bo jest czym!

Z fascynacji rodzą się piękne dzieła. Fascynacja zapładnia artystów do nieustrudzonych działań. Rzeźbią, montują, wycinają, łączą chaotyczne elementy w logiczną całość. Dalszy ciąg tej historii to fascynacja tych, którzy podziwiają ich dzieło. Skoro z fascynacji powstają ważne i piękne sprawy, właściwe i odrodzone najpiękniejsze działania, może ona rewolucjonizować codzienność i niecodzienność. Czy można ze strachu się nawrócić? Trudno powiedzieć. Strach jednak może otworzyć oczy na popełnione błędy. Tak naprawdę jednak pełne nawrócenie zaczyna się, gdy przed naszymi oczyma pojawi się wspałały obraz nowych możliwości. Widzę siebie w nowym świetle. Widzę siebie, poznaję siebie i wiem, że to ja, ale bardziej przylegający do mego jestestwa i pragnień, jakie w sobie noszę. Taka, nakreślona na horyzoncie mojego życia, perspektywa możliwego wywrócenia do góry nogami wszystkiego, co było dotychczas, nie jest raczej błahym powodem. To może być tylko wyjątkowo promieniujące Światło. I choć spraw do załatwienia jest mnóstwo, i wszystko, co mam wykonać, jest „na wczoraj”, niewiele z tych spraw przeważa

w zetknięciu z promieniującym Światłem. Ogar-
nie cię zdziwienie, kiedy zobaczysz, że nic z tego,
co było dotychczas ważne, nie trzeba odrzucać,
wystarczy tylko umieścić to we właściwych po-
jemnikach na wszelkie troski codzienności. Na-
wróć się, bo co masz do roboty – w ostateczności
oznacza: daj się porwać fascynującej informacji,
że Bóg zainteresowany jest twoim życiem. Wejdź
na drogę od Jego zainteresowania do twojego
nawrócenia, bo Bóg nie ma nic innego do roboty,
jak ci w tym pomagać. A ty, choć masz niewiele
do roboty, lecz tak wiele do zrobienia, nawrócisz
się, nie eliminując ze swego życia spraw, które są
dla ciebie naprawdę ważne.

Część I

Dobra Nowina jest dobra, gdy jest dobrze – *umacnianie Ewangelii*

Czy da się policzyć, ile w naszym życiu wydarzyło się rzeczy dobrych, a ile takich, o jakich pragniemy jak najszybciej zapomnieć? Jedno jest pewne: czy się jest człowiekiem dobrym, czy złym, w życiu zdarza się i to, co dobre, i to, co złe. Zdarza się to ludziom, o których możemy powiedzieć, że są dobrzy, jak i tym, o których wszyscy mówią, że są źli (May 2012: 9), choć oni są tacy sami jak my. Zdarza się nam tryskać najlepszym humorem, bywa, że zjedlibyśmy – nie z apetytem, ale ze złości – każde napotkane jadowite i niejadowite stworzenie tylko dlatego, że stanęło na naszej drodze nie w tym momencie, który sobie upatrzyliśmy za właściwy. Łagodzących obyczaje tego świata, jak i wprowadzających niekontrolowaną złość elementów jest w ludzkiej naturze sporo. Trochę korespondują ze sobą, trochę się nawzajem wypychają na zewnątrz. Trochę

negocjują, próbując stworzyć wspólny projekt na uratowanie siebie. Po trochę jest w nas zarówno jednych, jak i drugich. Nie udając, że jest inaczej, i nie siląc się na rzekomo ewangeliczną poprawność, że zawsze powinniśmy się uśmiechać i jak najczęściej skakać z radości, powiedzmy: popatrzmy na świat i swoje życie z wiarą, że dobra jest więcej niż zła. I że ze zła można wyprowadzić dobro – w tym też jesteśmy podobni do Boga.

Jednym udaje się to doskonale realizować, kreśląc wspaniałe koncepcje. Inni nie zwracają zbyt wiele uwagi na teoretyczną otoczkę, w jaką daje się wkomponować dobro. Jednym i drugim towarzyszy wspólne pragnienie: zarazić świat wiarą w radosną siłę dobra, zafascynować się jego wielobarwnością. Dobrze, że pomimo pozornych porażek, kolejni zafascynowani życiem nie przestają wierzyć, iż tą drogą można iść nadal. Zdolności adaptacyjne Boga są niewiarygodne. Przystosowanie się Ewangelii do dziwactw i głupstewek przekonanego o wszechpotężnej sile, zatomizowanego i zjednoczonego jednocześnie tworu zwanego społeczeństwem, jest zadziwiające. Dlatego ta książka jest pisana. Jest zwykłym świadectwem przekonania, że między Ewangelią i życiem istnieje niewiarygodne zespolenie. Podążam zatem tym tropem i zapraszam

Czytelnika, by również podjął tę wędrówkę. Niczego nie traci, a prawdopodobnie może trochę zyskać.

Iść do Niego, iść do innych – *miłość bliźniego przelewem*

Czy można sobie wyobrazić jakąkolwiek postać z Ewangelii, kręcącą się wokół Jezusa, która by nie chciała czegoś od Niego? Wyobrazić sobie – można. Faktycznie znaleźć taką w Ewangelii – nie bardzo. Ogólnie rzecz biorąc, wszystkim chodzi o to samo. Widzą w Jezusie kogoś, o czyje względy warto zabiegać, do kogo opłaca się podejść, z kim warto się zapoznać. A nawet może i lepiej pominąć te, nie aż tak istotne, sprawy, i od razu przejść do załatwienia tego, co doskwiera i czego brakuje. Lista jest dość długa, lista wydłuża się systematycznie wraz z pojawianiem się kolejnych postaci. I tak: uzdrów teściową, uwolnij od grzechu, daj wolność duszy, powiedz bratu, żeby podzielił się ze mną majątkiem, wskaż drogę do pełni szczęścia, oczyść z brudu, który mam w środku, powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja. Prośby się powtarzają, dublują, brzmią niby za każdym razem inaczej,

wypowiadane różną barwą i intonacją głosu. W jednych jest siła, pewność, w innych niepewność, obawa, zwątpienie. Wszystkie jednak są autentycznie adresowane do Człowieka o cudotwórczej mocy działania.

Trochę to droga na skróty, bo czy nie mają swoich lekarzy, pomocników, pracowników socjalnych, mentorów i przewodników po życiu? Czy wszystko miałby załatwić ekspert od wszystkiego, nieznany nikomu, lecz obwieszczony uniwersalnym cudotwórcą, szafującym sztuczkami i skutecznym pomocnikiem w ludzkiej biedzie? A dlaczego my Go poszukujemy? Co z naszymi motywami „zawracania głowy” Chrystusowi? Jeśli jesteśmy w stanie, spróbujmy sobie przypomnieć sytuację, kiedy szukaliśmy Chrystusa z powodu Jego samego. Czy w ogóle takie sytuacje były? Czy była chwila, kiedy stanąłem zachwycony przed jakimś cudem natury, i gdy z zachwyty zawołałem w głębi duszy: „Jaki nieprawdopodobnie wspaniały jest mój Bóg, że takie rzeczy stworzył!”. A potem było już tylko trwanie w zachwycie i w oniemieniu, trwanie dla Niego samego, z Jego powodu, bez jakiegokolwiek pobocznego i drugorzędnego celu, bez nastawienia na otrzymanie, bez woli uzyskania jakiegokolwiek korzyści.

Nietrudno przypomnieć sobie chwile, kiedy do Niego szliśmy i chwytailiśmy się Jego płaszcza, dlatego właśnie, że czegoś nam dotkliwie brakowało, z czymś sobie nie radziliśmy. Podchodziliśmy nieśmiało, niepewnie, rozglądając się na boki, czy ktoś nas aby nie obserwuje, czy ktoś nie robi notatek, nie próbuje szpiegować naszej wędrówki ku Boga. Tak było, gdy mieliśmy całą masę potrzeb, gdy sprawy nasze i bliskich były zapisane na kawałkach papieru, na paragonie z wczorajszych zakupów, na wewnętrznej stronie dłoni. Szybko zbieraliśmy te prośby, bo nasi bliscy wiedzieli, że już jutro, już za chwilę, będziemy mieli taką możliwość, aby podejść i poprosić. Tak było zwłaszcza wtedy, kiedy pchała nas do przodu wola uzyskania darów, niezbędników życiowych, tych elementów składowych codziennej egzystencji, które się pogubiły, porozsypywały, albo ich z jakichś powodów nie mieliśmy wcześniej, choć wiedzieliśmy, że są nam niezbędne do życia.

A kiedy było wyśmienie? Kiedy wszystko było z góry i po równi pochyłej? Kiedy białe i czarne robiło się kolorowe? Takie chwile nie zdarzają się zbyt często, lecz są to momenty przypisane do naszego życia, pasujące do niego, właściwe. Odpowiadają naszej ludzkiej naturze i naszym potrzebom. I właśnie dlatego trzeba

je chronić, podtrzymywać, dmuchać na nie i chuchać, by nie wygasły i nie kończyły się za wcześnie. Gdy przygasają, trzeba podrzucić drew, by ogień się dalej palił, a przynajmniej tlił. Byle ten płomień podtrzymywał także naszą pamięć o wybraństwie i uprzywilejowaniu, jakie się nam przydarzyło z woli Stwórcy. Relacyjność i odniesienie do Niego, utworowany od zawsze tunel wzajemnego przekazu bliskości pomiędzy Nim a nami, zawsze jest przepustowy i wytyczony w taki sposób, aby przepływ trwał. Jest wyjątkowy i może także posłużyć jako wzór do tego, co określa relację wzajemności międzyludzkiej.

Spójrzmy w związku z tym, jak to wygląda w odniesieniu do naszych przyjaźni, więzi, powiązań rodzinnych, najbliższych kontaktów. Czy tworzymy je i szukamy tylko dlatego, że są nam one potrzebne? Czy można pomyśleć o nich w kategoriach koniunkturalnych? Jestem w rodzinie, tworzę rodzinę, mam dzieci, mam przyjaciół – tylko dlatego, że to mi się opłaca? Ktoś sobie obliczył, przekalkulował, że jeśli się ożeni, wyjdzie za mąż, będzie płacił mniejsze rachunki, nie będzie musiał sam dźwigać zakupów. Żona wyprasuje koszulę, umyje okna, zrobi dobry obiad. Mąż pomoże z drobną awarią auta, skopie ogródek, wyniesie ciężki sprzęt z domu,

gdy przyjdzie pora na wymianę. Wszystko to się opłaca, jest korzystne, ułatwi życie. Oczywiście, jest to logiczne, i takie ułatwienia są naturalnym elementem życia. Czy może to być jednak wyłączny i podstawowy motyw, by się związać z drugim człowiekiem? Wzdrygamy się, a przynajmniej uśmiechamy pod nosem na taką logikę życiowych wyborów i motywacji. I jest to bardzo dobra reakcja.

Chrystus, nasz Bóg, jest przecież naszym Przyjacielem, naszym Bratem, naszym Ojcem. Dbamy o naszą więź z Nim, czasem w sposób bardziej uświadomiony, czasem tak trochę i przy okazji. Dbajmy o naszą przyjaźń z Nim. Niech nam na niej zależy. Gdyby nam nie zależało, nie byłoby chwil poświęconych jedynie na modlitwę. Nie byłoby poszukiwań Jego obecności w takich znaczących miejscach, jak nasze świątynie. Warto więc przemyśleć sobie rodzaj tej naszej więzi na nowo. Warto odnaleźć na nowo motywy naszego spotykania się z Bogiem na modlitwie, w sercu, w naszym wnętrzu. Właśnie wtedy, kiedy jest najlepiej, kiedy wydaje się nam, że los szeroko się do nas uśmiechnął, dobrze jest uświadomić sobie: „mam teraz czas łaski”. A jeśli jest on tak intensywny i bogaty, warto go mądrze rozłożyć i zdeponować na czas duchowej suszy.

Ewangelia ma to do siebie, że gdy jest głoszona, jak każda inna treść, może przyciągać uwagę, ale może też nie wywoływać nadzwyczajnego zainteresowania. To swoista ambiwalencja wśród myślących i rozmyślających nad nią odbiorców. Nie musimy udawać, że jesteśmy inni niż ewangeliczne postaci, bardziej inteligentni, bardziej empatyczni i dużo bardziej ufający Bogu i losowi, niż choćby przełożony synagogi Jair. Może i nawet chcielibyśmy skorygować nieco sposób bycia kobiety cierpiącej od dwunastu lat na upływ krwi. Może więcej dyplomacji? Może więcej ogłady? Jakaś wstępnie sformułowana informacja o rekonesansie dotyczącym własnego stanu zdrowia? Kilka choćby skrótowych informacji, jakie w ciągu wieloletnich procesów terapeutycznych otrzymała od specjalistów? Przecież to wszystko jest potrzebne, aby nawet tak wspinały Uzdrawiciel, jakim jest Chrystus, mógł dotknąć ozdrowieńczo tej bolączki, z którą przyszło się życiowo zmagać. Tak czy inaczej, czy ewangelicznie w tamtym czasie, czy ewangelicznie w tym czasie, Jezus i Chrystus doprowadza osobę z dolegliwościami do podobnych skutecznych efektów. Wszystkie potrzeby każdej z postaci, która się do Niego zbliża, zostają wypełnione. Być może nie zawsze czyni to w taki sposób, jaki

zaplanowali przychodzący do Niego potrzebujący, nie zawsze otrzymując upragnione dary w dokładnie takiej formie, jak sobie wyobrażali. Jedno ich wszystkich łączyło i łączy: nawet jeśli wszystkie okoliczności podpowiadają, że niemożliwe i nieracjonalne jest to, o co proszą, to należy i można jednak prosić. Kolejny raz sprawdza się prawda o naszym Bogu: dla Niego wszystko jest możliwe. Kolejny raz sprawdza się prawda o nas, którzy wierzymy: wszystko jest możliwe dla tego, kto wierzy. Czy nie powinniśmy skakać z radości, że taką umiejętność mamy? Skakać, podskakiwać, a jeśli ktoś się wstydzi przed innymi takich zachowań, to niechby uczynił to tam, gdzie inni go nie zobaczą.

Wierzymy – i zostawmy na boku to, czy wierzymy słabo, czy mocno – wierzymy, a Pan Bóg doskonale wie, jaka jest naprawdę siła naszej wiary. I nie wytknie nas palcami, nie powie: „Z czym przychodzisz do Mnie? Nie rozśmieszaj Mnie! Z taką wiarą? Zobacz, jak wierzyła Matka Teresa z Kalkuty, jak wierzył mój sługa Jan Paweł II. A ty? Z taką wiarą przychodzisz do Mnie? Czy aby nie pomylił ci się adres?”. Ktoś kiedyś żartobliwie zastanawiał się, mając na uwadze działania Matki Teresy z Kalkuty: Co by było, dla osób wierzących, powodem poważnego zasmucenia?

Co spowodowałoby podcięcie skrzydeł? Mogłaby to być sytuacja, kiedy na sądzie ostatecznym, stojąc w kolejce przed Sędzią niebieskim tuż obok Matki Teresy, usłyszelibyśmy skierowane do niej słowa: „Oj, moja droga, mogłaś zrobić więcej, bo tak trochę kiepsko wierzyłaś, i trochę zbyt mało dobra uczyniłaś”. I zaraz potem byłibyśmy rozliczani z naszej wiary i z naszych uczynków! Rozejrzeć się dookoła i myśleć: może uda się z tej kolejki jakoś wywinąć, stanąć chociaż gdzieś dalej, by wyczekać, aż rozliczający nas z naszego życia będzie już trochę zmęczony, może przymknie oko, odpuści sobie swoją skrupulatność.

Pan Bóg jest sprawiedliwy i mądry, i na każdego z nas patrzy indywidualnie. Każdemu dał życie i każdy jest dla niego „całym światem”, powodem zatroskania, przyczyną, dla której całą noc nie śpi, gdy nam się zdarza uciekać, robić głupoty, grać sobie i innym na nerwach. Istnienie, jakie nam dał, jest bytem jedynym i niepowtarzalnym. Istnieje nasze „ja” uzdolnione do zrozumienia siebie, do władania sobą, jak i do decydowania o swoim losie w perspektywie całego życia, w odniesieniu do tego, co wydarzy się za pół godziny i jutro (Papieska Rada Iustitia et Pax 2005: 85). Dzięki temu, że Panu Bogu chciało się zmudnie dłubać, by ukształtować nasze „ja”,

zostaliśmy obdarzeni zdolnością rozumowania i świadomością. Bez popadania w schizofreniczne rozdwojenie uzdolnieni jesteśmy do tego, aby w dobrym tego słowa znaczeniu wyjść z siebie i przyjrzeć się sobie z boku, żeby zobaczyć nie tylko upływający i odbity na naszym obliczu czas, ale zapisaną matrycę, którą można jeszcze na wiele, na bardzo wiele sposobów zabarwić, przekształcić, przeorganizować. Bóg w swej doskonałości, wiedzy i mądrości wie, kogo i na ile stać. Jeśli więc dziś tryskasz radością, to dlatego, że jest to potrzebne tobie i twojemu współegzystowaniu z innymi. Tryskaj więc i obdarowuj, bo tak naprawdę o to w życiu chodzi.

Przychodźmy więc do Boga bez lęku. I nie tylko wtedy, kiedy czegoś nam potrzeba. Przychodźmy do Boga jak do przyjaciół, jak w odwiedzinach do najbliższych. Nie tylko wtedy, kiedy mamy na to ochotę i kiedy nam ta wizyta jest potrzebna. I nie tylko wtedy, kiedy zaproszenie jest oficjalne, z jakiejś okazji, z racji takiej, że dawno się już tam nie było, więc wypada odświeżyć znajomość. Przychodźmy nie tylko wtedy, kiedy nasz wewnętrzny stan ducha jest tak bardzo rozświetlony, że z tej okazji nawet i jeża byśmy do siebie przytulili. Nie tylko wtedy, kiedy przepełnia nas radosny entuzjizm życia. I nie tylko wtedy,

kiedy w odwiedzinach jest tyle przyjemności i radości, że świat zaczyna przypominać jedno wielkie i permanentne świętowanie. Wpatrując się w Objawienie, i wczytując w pierwsze zapisy biblijne w Księdze Rodzaju, łatwo dostrzec, że czas na świętowanie jest zdecydowanie krótszy niż na codzienną pracę i trud. Tylko niedziela i jeden dzień w tygodniu miałyby stać się czasem na odbudowanie sił i wyśpiewanie Stwórcy naszej wdzięczności, uroczyście i najlepiej we wspólnocie. Zjednoczenie w uwielbieniu i dziękczynieniu czynionym Bogu jest też dlatego niezwykle, że wydobywa się z wielu serc i umysłów, które, choć podobne, to wszystkie inaczej wewnętrznie ukonstytuowane. Tak jak różnorodne są formy naszych aktywności i zróżnicowana wrażliwość percepcji świata, tak przekłada się to na wielobarwność przebiegu naszej codzienności.

Nauki społeczne słowami swych przedstawicieli wskazują na tzw. heterogeniczność społeczeństwa. W tym dość zawile brzmiącym stwierdzeniu chodzi o to, iż żyjemy w społecznościach i wspólnotach, które sprawiają, że odmienności i nierówności dotykające nas są jedynie tylko jedną i niedeterminującą nas zupełnie od zewnątrz rzeczywistością. Innymi słowy, to, że różnimy się między sobą, nie każe nam ze sobą

walczyć, dominować, wypierać i marginalizować. Odmienność i niepowtarzalność zaprowadziła niejednego z nas w różnorodne obszary życia, czyniąc nasze biografie niepowtarzalnymi. Wspomnijmy choćby wrażliwość artystyczną wszelkiego rodzaju, wynalazczość niespokojnych odkrywco umysłów. I całkiem zrozumiałe jest więc to, że gdy tryskanie radością jest naszym powołaniem numer jeden w danym momencie, to w tym samym momencie ktoś inny z gatunku *homo sapiens* właśnie wzdycha, może i sapie, bo coś go boli i coś mu dolega. A my, dysponując lekarstwem, które w sobie mamy, z racji naszej wewnętrznej mocy i radości życia, moglibyśmy z pewnością wyciszyć jego smutek i dolegliwości. Mamy tych lekarstw dużo, w plecaku, w kieszeni i na... rachunku indywidualnym w banku. Jest dobry czas na wykorzystanie tych narzędzi do przelewu niestandardowego, pro bliźniardowego, dla kogoś, kto status mojego bliźniego miał od zawsze, odkąd się pojawił w polu rażenia mojego chrześcijaństwa.